

Sławomir Sierecki

SAGA O VINLANDZIE.

..Burzo, wspomaga ręce naszych
wioślarzy, mamy na swych usługach huragan, i pędzi on
nas tam dokąd my chcemy."

O. Thierry

1.

- Więc jak to było?... - pytał, chyba już po raz setny, Torfinn.

Niestrudzona w opowieściach babka Aud - licząca może ze sto lat - rozpoczynała nową sagę . Jawiły się w niej okręty ozdobione na dziobie łbem smoka lub węża i niósł się bojowy okrzyk rycerzy-żeglarzy, których określano jednym mianem: Wikingowie .

Czy babka Aud była świadkiem tych wydarzeń? Raczej nie. Powtarzała jedynie to, co opiewali skaldowie . Ileż to razy słuchała ich pieśni w czasie uczt w rodzinnej Norwegii. A dziś? Dzisiaj, na nowej ziemi, przekazuje je wnukowi, by nie zaginęły, by sława wielkich wojów przechodziła z pokolenia

Torfinn urodził się już w Islandii i kochał tę ziemię, mimo że niepodobna była ponoć do żadnej z innych kolonii normańskich.

Wysłuchawszy kolejnej opowieści, Torfinn, uchodził zwykle z domu, z osady, i wspinał się na niewielkie wzgórze, na którego obłym szczycie płasać miały nocą górskie boginki. U stóp chłopaka leżał Reykjajökull, za jego plecami sterczał ponury bazaltowy masyw Esji, a w oddali, na horyzoncie, na wysuniętym daleko półwyspie, zamykającym wielką zatokę Faxaflói, iskrzył się w słońcu lodowiec Snœfellsjökull. Ale przede wszystkim ze szczytu wzgórza widać było morze. Ciągnęło się ono daleko, daleko, aż poza horyzont. Tam ponoć leżały nieznane lądy, o których opowiadały tylko sagi. Z wysokości wzgórza Torfinn widział wyraźnie płynące do Reykjavíku wielkie statki, z rozpiętymi trapezowymi żaglami malowanymi w runiczne znaki i wizerunki.

Torfinn kochał morze.

Kochał również Gudrid...

Gudrid miała jasne włosy i błękitne oczy, jak wszystkie dziewczęta islandzkie, ale różniła się od innych tym, że - według Torfinna - była najpiękniejszą na całej Islandii.

Oprócz morza i Gudrid, Torfinn kochał jeszcze normańskie sagi. To były pieśni skaldów, którzy szli razem z rycerstwem na dalekie łupieżcze wyprawy, a potem opiewali bohaterskie czyny wojów:

zdobycie kupieckich statków, napady na miasta i grody nadmorskie, zatapianie wojennych łodzi An-głów, Franków czy Słowian. Sagi mówiły też o groźnych skandynawskich bóstwach, Hymiskvida i Alvismal * opowiadały jak to bóg Thor zdobył swój święty młot, Yafprudmsmal * i Grimnismal * sławiły Odyna, Skirnismal odtwarzała malownicze dzieje Skirnisa. Inne opisywały urodę pięknej Gudrun Osvifrsdatter, przez którą zginęli Kjartan i Bolli, przyjaźń Njala i Gunnara, obronę ojczystego domu przez Hrafnkella, wierność Gisli. Ożywał w nich świat dziwów, potworów, wielkoludów i małych w porównaniu z nimi, lecz jakże dzielnych ludzi, którzy pokonywali tamte groźne stwory. Był tu Sigurd zabijający smoka i kąpiący się w jego krwi, półlegendarni władcy Rolf Krake i Ragnar Lodbroke, błędni rycerze-piraci: Halfr i, Starkad.

Torfinn widział ich wszystkich w swej wyobraźni. Oto wstępują na stopnie zamków, do których wejścia bronią smoki, oto ratują dziewice, oddane smokom na ofiarę, i tryumfalnie na ujarzmionym już smoku wjeżdżają do złotych miast...

Smok był zawsze i wszędzie.

Czaił się niespodziewanie wśród zrębów gontowego dachu, wplatał się w ornamentykę runicznych znaków na tarczy czy na hełmie. Wizerunki jego ryto na rogach, używanych jako kielichy w czasie uczt i na rogach wzywających do boju, na głowicach mieczy i na lirach, których gra umilała długie zimowe wieczory. Nie zginął też z wyobrażeń z chwilą przyjęcia nowej wiary - chrystianizmu. Znalazł i wtedy sobie miejsce, walczył ze świętymi, asystował prarodzicom w raj, obserwował ukrzyżowanie Chrystusa. Chytry, niezniszczalny, choć stokrotnie pokonywany.

Jako symbol trwał wiecznie. Na koniec przypadło mu walkę o niepodległość normańskiego klanu chłopów-rycerzy i rycerzy-rozbójników, tych wolnych ludzi kochających ponad wszystko swobodę i niezależność. A zostały one zagrożone w rodzinnej Norwegii. Zespolona władza duchowna i świecka, kościoła i króla, pokusiły się o ujarzmienie wolnych Normanów. I wówczas to wierni wyznawcy potężnego Odyna i Thora, bitni i niespokojnego ducha Wikingowie postanowili opuścić skaliste brzegi skandynawskich fiordów i poszukać sobie nowej Ojczyzny.

Na północo-zachodzie leżał nieznany wówczas ląd, wielka, skalista wyspa. Oglądał ją Svarvason (861 r.), a Roki Yilgerdson mieszkał nawet na jej wybrzeżach i nadał jej nazwę I s l a n d - „Kraj lodów”. Ta nazwa brzmiała niegościnnie, ale nie odstraszyła normańskich piratów. Około 870 roku pierwsze statki Wikingów przybiły do południowych wybrzeży tej wyspy.

Stara Aud opowiadała Torfinnowi, że były to dwie pstrokate, wielkie łodzie. Na jednej z nich dowodził Isgolfur Amarson, na drugiej - Leifur Hrodmarson. Pragnęli założyć osiedle na brzegu wyspy, wybór miejsca pozostawili bogom. Czy istotnie mądrość bogów wskazała im ten uroczy zakątek u podnóża masywu Esji, który od oparów gorących źródeł nazwali „Zatoką Dymu”, czyli Reykjavik?...

W Norwegii działo się tymczasem niedobrze. Król Harald Haarfager - Pięknowłosa - rozszerzał nadal swą władzę, narzucając ludności obowiązek danin i podatków, ograniczając jej swobodę, osaczając urzędnikami, a wreszcie zabierając synów na nieznane wojny. Kto chciał uniknąć ucisku władzy królewskiej, wsiadał na okręt i żeglował ku brzegom Islandii. Tam było spokojnie. Bóstwa normańskie panowały niepodzielnie, ignorując wyrastające na skalistych brzegach Norwegii świątynie nowego Boga, którego kapłani odprawiali swe misteria w nieznanym dla Wikingów języku.

A jednak pod koniec X wieku Thorvaldur Kodranson, jeden z islandzkich piratów przywiózł na wyspę człowieka w długich sukniach, który jął nauczać, że kto nie przyjmie nowej wiary będzie przeklęty. Islandczycy wypędzili misjonarza, przeczuwając jednak, że próby nawrócenia zostaną wznowione. Królowie Norwegii postawili sobie, bowiem za cel -ochrzczenie Islandii. Nie ulegało wątpliwości, że jest to pierwszy etap podboju i podporządkowania wyspy królewskiej władzy.

Rzeczywiście w piętnaście lat później próby chrystianizacji powtórzyły się. Tym razem przewodził im sam wielki Olaf Trygvasson. Z jego to poruczenia Sitefnir Thorgilsson przywiózł na swoim żaglowcu kilku ludzi z wygolonymi krążkami na czubku głowy. Doszło wówczas do starć i Stefnir, mimo że nie wahał się dobyć miecza, musiał wracać do Norwegii z niczym. Opór jednak nie miał już trwać długo. Wiedzano, że wielki Olaf Trygvasson uczyni wszystko, aby obalić posągi Thora i Odyna na Islandii.

A wtedy ?...

Spojrzenie Torfa inna znów powędrowało ku morzu. Właśnie owa nie kończąca się, groźna, zmatowiała od zmarszczek wywołanych szkwałem tafli wody przynosiła ukojenie buntującym się myślom, bo gdzieś tam poza linią horyzontu, dalej na zachód leżeć miał nieznany ląd. Natknął się nań po raz pierwszy w czasie swej wyprawy Gunbjörn. W 978 roku dotarli doń inni Wikingowie. Czy była to wyspa? Nie wiedzieli, nie opłynęli jej bowiem dookoła. Twierdzili, że nikt tam nie mieszka, ale jeden z nich przywiózł z podróży strzałę. Oglądano ją długo. Miała grot wykonany z rybiej ości, nikt nigdy nie widział podobnej strzały.

Krażyły też już wówczas legendy o tym, jak to w czasie podboju przez Normanów Irlandii - czyli Erynu - biskup Brandan opuścił z grupą towarzyszy tę wyspę i udał się na północo-zachód. Podobno po długiej tułaczce odkrył on wielką i piękną wyspę, na której wszyscy mogli się osiedlić. Byłaż to prawda? Być może. Mnisi irlandzcy dotarli przecież przed osadnikami normańskimi na Wyspy Owce i na Islandię.

Opowiadano następnie, że na „Wielkim Oceanie”, na zachód od Europy leży „Wyspa Siedmiu Miast”. Po całkowitym rozbiciu przez Maurów wojsk chrześcijańskich pod Jerez de la Frontera (711 r.), pewien arcybiskup wraz z sześciu

biskupami i licznym poczem świeckich oraz duchownych dworzan opuścił brzegi Hiszpanii na okrętach i osiągnął jakąś wyspę na otwartym morzu. Tam założył siedem miast. Szukali tej wyspy niektórzy piraci normańscy w nadziei obfitych łupów, ale nadaremnie.

Legandy?...

Torfinn marzył o odkryciu „Wyspy Siedmiu Miast”, „Wyspy Świętego Brandana”, nieznanej krainy położonej na północo-zachód od Islandii, marzył o zdobyciu bogatych miast i zamków, o pokonaniu smoków i wreszcie... o pięknej Gudrid.

Tymczasem jednak słońce zniżyło się ku zachodowi, wiatr porwał na strzępy obłoki pary z gorących źródeł, a od północo-wschodu zsunęła się na ziemię kurtyna nocy.

Czas było przerwać rozmyślenia i wrócić do Reykjavíku.

2.

Zanim zajmiemy się dalszymi losami młodego Islandczyka - Torfinna Karlsfenni - i przedstawimy, w jaki sposób przystąpił on do realizacji swoich marzeń, musimy opowiedzieć cośkolwiek o samych żeglarzach normańskich.



Ich sława obiegała w tym czasie całą Europę. Była to zła sława, skoro w kościołach modlono się słowami: „Przed wściekłością Normanów obroń nas Panie!”. Lotne statki Wikingów nie lękały się burz ani otwartych morskich przestrzeni. Niespodziewanie zjawiały się u wybrzeży, wpływały w gardziele rzek, a z burt, na których utworzona była niemal ściana z tarcz rycerskich, sypał

się na ląd grad strzał. Potem z bojowym okrzykiem Wikingowie ruszali do ataku, a ich strasznym toporom nie oparła się żadna tarcza, żaden kuty z brązu miecz. Jeżeli na przeszkodzie stawał im półwysep, dział wodny, czy jakikolwiek skrawek lądu, przeciągali swoje statki po ziemi na belkach.

Normańscy żeglarze-piraci grasowali przede wszystkim na Morzu Północnym i Morzu Bałtyckim. Znały ich wybrzeża Zatoki Ryskiej i Zatoki Fińskiej, stąd rzekami przedostawali się aż na Morze Czarne, a stamtąd do Bizancjum. Opłynęli Półwysep Skandynawski i osiągnęli Morze Białe, na wyspie Man umiejscowili swoją bazę wypadową, kilkakrotnie dokonali podboju Anglii, a nawet założyli osady na krańcach Irlandii. Trzykrotnie zdobyli Paryż (845 r., 857 r., 861 r.). Opanowali dolny bieg Sekwany i pół-wysep, który od ich imienia nazwano Normandią. Skąd sfrancuziali już Normandowie pod wodzą Wilhelma Zdobywcy w 1066 r. zaatakowali Anglię i pod Hastings odnieśli walne zwycięstwo. Napadali na brzegi Hiszpanii i Portugalii, plądrowali wybrzeża Włoch, ba... pomagali książętom Neapolu, Besewentu i Salerno w walce z Saracenami. Walczyli nawet z flotą egipską. Niektórzy z nich docierali aż do Cabo Verde i afrykańskich wybrzeży. A wszystkim tym wyprawom przyświecał tylko jeden cel - zdobycie łupów. Do zwyczajów niemal weszło, że młody człowiek, jeśli pragnął zyskać do-h-e imię, musiał zasłużyć się w rabunkowych wyprawach morskich. Nie ma chyba gorszej sytuacji jak ta, gdy rozbójnictwo staje się punktem honoru.

»Nic więc dziwnego, że nieraz organizowano napady odwetowe. Taki właśnie charakter miała wyprawa pod wodzą księcia Racibora na Konungahellę w 1136 roku. Normanowie zostali wtedy doszczętnie rozbici.

Marzenia Torfinna pozwoliły nam odtworzyć historię podboju Islandii, nie będziemy więc do niej wracać. Zaczniemy od innego wydarzenia, które łączy się z dalszymi losami bohatera i z dalszymi losami samej wyspy.

Mieszkał wtedy na Islandii człowiek imieniem Eirikur - czyli Eryk - Thorvaldson, a od swej bujnej, rudej brody przewany „Rauda” - „Czerwony”. Za pirackie wyczyny, jakich dopuścił się •w Norwegii, ściągnął na siebie gniew króla. Udzielono mu azylu na wyspie. Nic w tym dziwnego, istniała tu, bowiem dość osobliwa arystokratyczna republika wspierająca zbuntowanych wielmożów. Eryk Czerwony wywodził się z norweskich wojów, znalazł więc tu sprzymierzeńców i szacunek. Ale trwało to niedługo. Znowu doszło do poróżnień. A wreszcie Eirikur dokonał formalnego zajazdu na dwór przeciwnika. Połała się krew...

Piracka sława „Piaudy”, tak wielką rolę odgrywająca w obyczajach rycerstwa normańskiego, ochroniła jego głowę. Jednak Islandczycy zaczęli się bać o swe mienie i życie, które zawsze było zagrożone ze strony awanturnika. Dlatego też wyrok, jaki zapadł na Eryka, brzmiał jednogłośnie - wygnanie. Dokąd? Oczywiście na ową nieznaną ziemię, leżącą gdzieś na zachód od Islandii.

Skrzyknął Eryk swoich synów i dworzan, kazał sposebić statki. Po kilku

tygodniach odpłynął z Reykjavíku ku osnutemu mgłami horyzontowi i... przepadł bez wieści. Mówiono, że spotkała go zasłużona kara z ręki bogów.

A jednak mylono się.

Po trzech latach do portu w Reykjavíku przybiły statki Eryka. On sam wylazł na brzeg pewny siebie, jakby jeszcze bardziej hardy i zaczepny. Gdy wielkimi krokami przemierzał ulice miasteczka, z lękiem i ciekawością obserwowały go dziesiątki par oczu. Po co powrócił? Z czym przybył? Gdzie bywał przez ten czas?

A potem rozeszła się wieść niezwykła. Na północo-zachód od Islandii leżeć ma rzeczywiście piękny kraj, którego wybrzeża już z daleka radują oko zielenią trawy. Zwierzyny jest tam pełno, a ponieważ nie widziała ludzi, nie boi się ich i daje się łatwo upolować. A czy mieszkają tam owe gnomy, o których mówią sagi? Nie, żadnych gnomów nie ma, tylko...

Ale to właściwie odrębna historia, wymagająca osobnego omówienia. Otóż, chociaż ludzi na tej ziemi nie spotkano, gdzieś, w jakiejś zatoczce znaleziono bardzo osobliwego kształtu łódeczkę, której szkielet wykonany był z ości wielkiej ryby, a pokrycie ze skóry. Była jednak tak maleńka, że żaden z Wikingów nie mógł się w niej zmieścić... Ktoby tam jednak zawracał sobie głowę takimi sprawami... Były inne, ważniejsze. Podawano sobie z ust do ust nazwę dalekiego lądu: Grenlandia - „Zielona Ziemia”, tak bowiem „Rauda” nazwał nowy kraj. Opowiadano też o tym, jak to Eryk prosi starszyznę o przebaczenie, jak przedstawia warunki i możliwości założenia nowej kolonii. Podobno chce zabrać ze sobą tych wszystkich, którzy pragnęliby tam się osiedlić...

Na Islandii zawrzało. Wieczorami prowadzono długie, burzliwe rozmowy, radząc się nawzajem, co należy czynić. Mniej zdecydowani pytali bogów. Ale bogowie nie udzielali jasnych rad. A więc?...

I wtedy to właśnie śliczna dziewczyna Gudrid, łamiąc prawa obyczajowe, odszukała swego Torfinna i w ukryciu, w skalnym, zamglonym siarkowym oparom gorących źródeł uroczysku, przekazała mu wieść straszną. Matka i ojciec postanowili oddać ją za małżonkę średniemu synowi Eryka Czerwonego - Torwaldowi. Nie ma już wyjścia z tej sytuacji. Rodzice jej wyruszają również na Grenlandię i prawdopodobnie przez małżeństwo to pragną ugruntować sobie poczesne miejsce na tym dalekim, nieznanym lądzie.

- A jeśli nie odjedziesz na Grenlandię? - pytał Torfinn dziewczynę.

- Nie uczynię nic dobrego. Wiesz, kim jest Eryk i jak potrafi się mścić. Jeśli ja nie pojedę, to i moi rodzice nie powinni się tam wybierać. Eryk sprawi, że otrzymają najgorszą ziemię, że nikt nie pomoże im w budowie domu i pierwszej zimy zginą w śniegach. Zima jest tam tak samo ciężka jak u nas...

- Więc dlaczego jadą?

- Ludzie, którym wiedzie się źle, myślą zawsze, że na innym miejscu, w innych

warunkach bóstwa będą dla nich łaskawsze.

- A gdybym cię porwał, Gudrid?

- To dokąd mógłbyś mnie zawieźć? Tam, gdzie panuje wielki Olaf Trygvasson? Boję się, że wystarczyłoby, aby „Rauda” dowiedział się tylko o naszych planach. Tobie kazałby ściąć głowę, a mnie odesłałby do rodziców... A uciekać na Grenlandię? Nie, tam powstaje teraz państwo Eryka Rudego. On będzie tam władcą...

- Więc nie ma dla nas wyjścia?

- Nie ma, Torfinnie! Będę składać ofiary i błagać bóstwa, aby uczyniły coś, żebyśmy kiedyś mogli się jeszcze spotkać. Nic więcej nie jestem zdolna uczynić.

- Gudrid, byłaś dla mnie zawsze czymś tak bliskim jak niebo, morze i skały Islandii, jak cały otaczający nas świat. Nie wierzę, aby losy miały rozdzielić nas na zawsze. Nie wierzę, aby świat z sag, opowiadanych przez babkę Aud, miał istnieć tylko w pieśniach. Nie wiem jak to się stanie i kiedy, ale przybędę po ciebie nawet tam, do dalekiej „Zielonej Ziemi” - mówił z rozpaczą w głosie Torfinn.

W roku 986 odbiła od brzegu Islandii flotylla złożona z dwudziestu pięciu statków, wioząca na Grenlandię nowych osadników. Żegnały ją zebrane na wybrzeżu liczne tłumy, a na bazaltowych skałach Esji stał i patrzył ku odpływającym okrętom młody Wiking - Torfinn Karlsfenni. Nie mógł on zmienić praw, nie był więc w stanie odwrócić losu, który niweczył jego marzenia.

Niweczył ?...

Właściwie trudno tak to określić. Torfinn, bowiem nie zrezygnował ze swych marzeń.

3.

Mijały miesiące i lata..

Osady na Grenlandii rozwijały się pomyślnie, chociaż z flotylli dwudziestu pięciu statków tylko czternaście dobiło do wybrzeży nowego lądu. Eryk założył swą stolicę w osadzie Brattahid, położonej we fiordzie jego imienia, a druga osada, która zresztą przerosła „stolicę” Eryka, nosiła nazwę Gardar (łgaliko) i położona była nad zatoką Einasfoerde.

Czy Eryk chciał zwieść swych rodaków piękną nazwą i dlatego kontynentowi pokrytemu w osiemdziesięciu pięciu procentach grubą warstwą lodu nadał miano „Zielona Ziemia”? Być może. W każdym razie wybrzeża były istotnie zielone, a na ich trawach pasły się stada przywiezionych na okrętach zwierząt domowych. Wkrótce jednak rybołówstwu myśliwstwo wzięło górę nad hodowlą. W sumie warunki życia były ciężkie, jednak właśnie ta ich surowość i srogość zespoliła

osadników ze sobą bardziej niż na innych lądach, a walka z przyrodą przytępiła jakoś niespokojne serca piratów.

Kraj Eryka, znajdujący się w południowo-zachodniej części Grenlandii, podzielony został na dwie prowincje: Estribygd i Yestribygd. Tam powstało w gumie dwieście osiemdziesiąt osiedli. Każde z nich stanowiło właściwie osobny gród, rządzone przez jakiegoś wielmożę, zgodnie z tradycjami normañskimi.

I wszystko byłoby dobrze, życie płynęłoby spokojnie, bez burzliwych, dalekich wypraw, gdyby mieszkańcy nowego lądu mieli budulec na swe łodzie i domy. Ale na Grenlandii, podobnie jak i na Islandii - gdzie niewielkie lasy wycięto zaraz w pierwszych latach kolonizacji - nie było drzew. (Dlatego też zmienił się styl budowli, które wznoszono tu z kamienia i uszczelniano mchem i trawą). Toteż marzenie o zdobyciu tego surowca nieustannie nurtowało normañskich osadników. I właśnie w związku z tym przypomniano sobie ów wypadek...

W roku 986 Biarne Herjulysson żeglując w ślad za Erykiem został zepchnięty daleko na zachód i dopiero po dłuższym czasie przybił do brzegów Grenlandii. Nie to było jednak ważne, że po wielu trudach i przygodach dotarł wreszcie na Grenlandię, lecz to, że w czasie swej wędrówki wylądował na nieznanym lądzie, na którym ujrzał... las.

Wydarzenie to długo było komentowane wśród normañskich mieszkańców Grenlandii, jednak nie wyciągnięto na razie z tego konsekwentnych wniosków i nie powzięto żadnej decyzji, gdyż przesłoniły je inne, w danej chwili ważniejsze sprawy. Oto król Norwegii, Olaf Trygvasson, rozpoczął znów ofensywę na Islandię, grożąc niemal zagładą w razie odmowy przyjęcia chrześcijaństwa.

W 1000 roku starszyzna islandzka postanowiła Przyjąć nową wiarę, aby w ten sposób uratować



kraj od spustoszenia. Wieść o tym wkrótce dotarła na Grenlandię, a w ślad za nią zjawili się pierwsi księża. Eryk Czerwony przyjął ich z rezygnacją

On również nie miał sił do dalszej walki

Gdy życie zaczęło biec znowu normalnym trybem ożyła sprawa nieznanego lądu, a zwłaszcza kwestia rosnącego na nim lasu. Grenlandia koniecznie potrzebowała drzewa...

Wówczas to właśnie najstarszy syn Eryka, Leif, odkupił od Biarnego Herjalussona statek „Ulitku” postanawiając dotrzeć do tajemniczej ziemi. Dokonać tego pragnął nie od razu. Najpierw ruszył on w przeciwnym kierunku, chcąc odnaleźć drogę do Norwegii, kraju swych ojców. Postanowienie swe zrealizował istotnie, a nawet przyjęty był na dworze króla Olafa Trygyassona. Potem dopiero popłynął na zachód.

Kronikarze zapisywali rok 1002, gdy „Ulitku”, statek Leifa Ericksona, ozdobiony na dziobie głową smoka, pędzony wicherem północnym dmącym w kolorowy, prostokątny żagiel - zbliżał się ku brzegom Ameryki. Współcześni badacze wskazują, że dotarł on wówczas do wybrzeży Labradoru i prawdopodobnie wpłynął w ujście rzeki Hamilton, nazywane dziś Goose Bay. Brzeg jest tam skalisty i dziki, toteż nic dziwnego, że Normanowie nazwali go H e l l u - l a n d, czyli „Kraj Kamieni”. Nie była to więc ziemia, którą widział Biarne. Ruszono zatem w dalszą drogę. Po wielu dniach przybito wreszcie do brzegów, rysujących się na błękitnie nieba ciemnozieloną linią iglastego lasu. Leif nie posiadał się z radości. Odkrył więc ów legendarny Markland - „Kraj Lasów”. Nie zaprzestał jednak dalszych poszukiwań i po jakimś czasie jego „Ulitku” wylądował na brzegach obecnej Nowej Szkocji. Tam jeden z żeglarzy Leifa, Tirker, znalazł gałązkę

dzikiego wina. Stąd narodziła się nazwa tej ziemi - V i n l a n d, czyli „Kraj Wina”.

Leif nie zdawał sobie sprawy ani z doniosłości odkrycia, ani nie wiedział, że daje początek najpiękniejszej sadze, jaką wyśpiewali skaldowie skandynawscy, mimo że nie brzmiał w niej głos rogów bojowych, ani nie rozlegał się wojenny okrzyk drużyny.

Po powrocie Leifa, po wysłuchaniu jego opowiadań, w podróż do Vinlandu wybrał się jego brat Torwald, mąż pięknej Gudrid. Torwald był ponurym, jasnowłosym olbrzymem, zazdrosnym o swą żonę. Czy kochał ją? Trudno zgadnąć. Być może kochał ją po swojemu - szorstko, bez cienia romantyzmu takie, bowiem było życie na Grenlandii - szorstkie i pozbawione atmosfery sag, panującej na Islandii.

Dziwne było rozstanie tych dwojga i nie wiadomo, czy piękna Gudrid płakała bardziej w obawie przed niebezpieczeństwami czyhającymi na morskim szlaku, którym płynąć miał jej małżonek, czy też po prostu płakała nad własnym losem.

Torwald z łatwością odnalazł na nieznanym kontynencie pierwszy obóz Leifa, przezimował w nim, a na wiosnę 1004 roku ruszył dalej na południe. Płynął wzdłuż brzegów, szukając miejsca dogodnego dla założenia osady. Wreszcie któregoś dnia miejsce takie znalazł. Leżało ono na zalesionym cyplu, nieopodal ujścia rzeki. Wikingowie wylądowali tam, wciągnęli swój statek na brzeg i rozłożyli obóz. A chociaż nigdzie dotąd nie natknęli się na nieprzyjaciół, to jednak nie rozstawali się z bronią i nie omieszkali wystawić wart. Zaczęli też wieść rozmowę na temat tego bezludzia. Przecież nawet w najdalej na północ położonych rejonach Grenlandii spotkać można było ślady człowieka. Ot, choćby i ta strzała znaleziona na Grenlandii przez pierwszych przybyłych tam Wikingów świadczyła o tym, no i czółno, o którym mówił Eryk.

A ład, wzdłuż którego płynęli obecnie, czyż byłby niezamieszkały ?...

- Hej!... Czółna z ludźmi płyną do brzegu! - wykrzyknął nagle wartownik.

Porwali się z miejsca, chwycili za miecze i topory. Istotnie, do brzegu zbliżały się trzy małe łódki, a w każdej z nich siedzieli ciemnoskórzy ludzie. Byli to Indianie* - wysocy, półnaczy, we włosach wpięte



mieli pióra. Płynęli szybko i wkrótce ich małe czółeka wryły się dziobami w piasek wybrzeża. Indianie . po wylądowaniu napięli nagle swoje łuki i wypościli w kierunku Wikingów sześć strzał. Na szczęście rycerze przygotowani na taką ewentualność, zdążyli zasłonić się tarczami. Teraz jednak, gdy nieznajomi zdradzili swoje zamiary, nie mogli dopuścić do ponownego ataku. Z bojowym okrzykiem, który wiódł ich ojców do szturm na wszystkich morzach średniowiecznej Europy, ruszyli w kierunku nieznanych przybyszów. Maczugi indiańskie nie wytrzymały ciosów skandynawskich toporów i mieczy. Ośmiu Indian legło na ziemi brocząc krwią, uciec udało się tylko jednemu.

Po kilkunastu minutach jednak zatoczka zarojła się od piróg pełnych Indian. Wikingowie zmuszeni zostali do walnego ataku na lądujących dzikusów i stoczenia z nimi desperackiej walki. Przybysze mieli wprawdzie przewagę liczebną, ale Wikingowie przewyższali ich uzbrojeniem i taktyką. Kruche tarcze czerwonoskórych nie mogły się oprzeć twardym uderzeniom mieczy i toporów. Pomimo to poniesiono poważne straty. A największym, najcięższym ciosem dla normańskiej załogi była śmierć Torwalda. Indiańska strzała przebiła mu gardło.

Wikingowie pochowali poległych, a potem - w obawie przed nowym atakiem - zepchnęli statek na wodę i ruszyli w podróż powrotną. Nadchodziła zima, postanowili więc przeczekać ją w obozowisku Leifa, po czym wiosną 1004 roku powrócili na Grenlandię, przywożąc wieść o śmierci średniego syna Eryka Czerwonego.

Najmłodszy syn Eryka - Torstein - postanowił pomścić śmierć brata i w tym celu wyruszył ku brzegom „Vinlandu”. Wyprawa nie udała się jednak. Sztorm zwałił maszt, a sam statek wylądował na skalistym brzegu Grenlandii z dala od ludzkich

siedzib. Torstein i większość jego towarzyszy poniosło śmierć.

4.

Eryk Czerwony przyglądał się bacznie stojącemu przed nim rycerzowi, potem wskazał miejsce na ła-wie. Gest ten oznaczał nie tylko zaproszenie do -wspólnej biesiady, ale jednocześnie daleko idącą

-: -rychłość. Eryk cofał się pamięcią wstecz i usi-»---*-ał przypomnieć sobie wśród oglądanych przed | laty Islandczyków oblicze gościa, ale nie szło mu to łatwo. Nic dziwnego, Torfinn Karlsfenni był wtedy dorastającym młodzieńcem, a oto teraz przed Brykiem siedział ogorzały, szerokobary mężczyzna x przystrzyżoną brodą, odziany w bogate suknie i pas ze złotą kłamrą.

- Opowiadaj! - rzekł wreszcie Eryk, ni to w formie zachęty, ni rozkazu.

Torfinn nie analizował jednak tonu wypowiedzi wodza grenlandzkich osadników i bez zwłoki rozpoczął przedziwną opowieść. Tak dalece zapamiętał ię w tej gawędzie, iż przestał widzieć rudobrode oblicze Eryka; zobaczył natomiast bezkresne morze.

Oto stoi na dziobie wojennego statku z mieczem w dłoni i wydaje rozkazy. Jego lotne statki zbliżają się do pękatych statków kupieckich. Sypią się już strzały. Jedna z nich zabrzączała na jego hełmie, inna na tarczy... A potem szturm!

Jakby dla zilustrowania swoich zwycięstw, Torfinn. rozkazał wnieść bogate kobierce, płaszcze, ba!...nawet kolczugi. - Za tym wszystkim musi się kryć jakaś poważna sprawa - rozumował Eryk. Nie był jednak w stanie jej rozszyfrować. Tymczasem Torfinn opowiadał dalej. Zapał i entuzjazm bił z jego słów. Przed oczami

rudobrodego Eryka malował panoramę płonących miast nadbrzeżnych i wciągał go do szturm na wroga. Eryk zasłuchał się. Opowiadanie przybysza porwało go.

- Gdzie -to było? Może u brzegów słowiańskich, może w ujściu Loary, może nad Tamizą, a może u słonecznych wybrzeży Mauretanii? - Eryk Czerwony znał i pamiętał zapach płonących osad i dźwięk mieczy bijących w tarcze.

- Objechałem wiele mórz i wiele krain - kończył Torfinn - aż oto szlak mój skierował się ku „Zielonej Ziemi”. Pragnąłem odwiedzić siedzibę sławnych żeglarzy i postyszeć coś niecoś o krainie^ którą zowią Yinland.

A więc taki był cel podróży Torfinna? Nie tylko. To prawda, że chciał spotkać się z Lei-fem Ericksonem, aby dowiedzieć się o losach jego wyprawy i pomówić z żeglarzami, którzy pływali na okrętach dowodzonych przez jego braci. Ale... Ale był jeszcze jeden powód przybycia Wikinga... Gudrid; piękna wdowa po Torwaldzie, poległym od strzał na dalekim kontynencie.

Kiedy Torfinn opowiedział już wszystko o swoich bitwach i podróżach oraz kiedy wyjawiał swe marzenia i plany, Eryk zaszepił się. Wreszcie podniósł wzrok na

Torfinna.

- Byłeś ze mną szczery, a więc i ja będę szczery z tobą. Obcy ład zabrał mi dwóch synów, ale ten ład jest nam bardzo potrzebny. Musimy stamtąd czerpać zapasy drzewa. Leif zrezygnował z podróży. Płyn więc ty, płyn z poruczenia grenlandzkich Wikingów. A jeśli tylko Gudrid cię zechce, bierz ją ze sobą na okręt!

Napełniono rogi purpurowym płynem, który przywiózł Torfinn. Drużyna Eryka rozgadała się, zaczęto wspominać stare dzieje. Potem jednak tematem rozmowy stały się czasy bliższe, wydarzenia ostatnie

Mówiono o tym, jak to ulbiegłej zimy śniegi zasypały osadę aż po dachy, jak to ludzie grzali się nawzajem lub tuląc do zwierząt domowych, które na zimę ,wprowadzano do izb. Życie było tu ciężkie, bardzo ciężkie.

- Kiedy będę mógł zobaczyć Gudrid? - spytał w pewnej chwili Torfinn.

- Gudrid? A choćby zaraz - odpowiedział Eryk, ,picierając splamiony winem gąszcz swej siwiejącej brody.

Torfinnowi serce zabiło żywiej. Pragnął tego spotkania i bał się go. Ostatni raz oglądał Gudrid, gdy jeszcze młodziutką dziewczyną. Dziś miała

Lat trzydzieści cztery, podczas gdy Torfinn dobiegał czterdziestu. Kogo zobacze? - myślał Torfinn. Czy się ogóle poznamy się, czy wrócą znów nasze marzenia, czy Gudrid wierna swym obietnicom czekała na mnie przez tyle lat?

Gwar głosów biesiadujących powoli cichł i zamieił. Znad ognisk wznosiły się ku górze dymy, jak ofiarne kadzidła w świątyni. Poprzez tę mgłę zobaczył Torfinn Gudrid. Szła przez komnatę wysoka, szczupła, pełna majestatu, jak księżniczka z sag. Zmieniła się od czasu ich rozstania, ale była wciąż piękna i miała takie same jak wtedy oczy... Torfinn wstał z ławy i wyszedł jej naprzeciw. Przystanąła. On zatrzymał się również. Jakiś czas badała wzrokiem całą jego postać - długie włosy, przystrzyżoną Iródkę, koleczugę, płaszcz, złotą zapinkę, miecz z inkrustowaną rękojeścią. W oczach jej zjawił się | wyraz zdumienia, potem nieopisanej radości.

- To jest Torfinn, Wiking z Islandii - powiedział wolno, dostojnie Eryk Czerwony. - Objechał kawał świata, zdobył wspaniałe bogactwa, a teraz przybył tutaj, aby ciebie Gudrid, wdowę po wielkim rycerzu i żeglarzu Torwaldzie, pojąć żonę. Czy chcesz go?

- Czy go chcę?... - spytała Gudrid. - Przecież to Torfinn z Reykjayiku, z którym przed wielu, wielu laty bawiłam się razem i marzyłam...

- Gudrid... - powiedział cicho Torfinn - czekałaś na mnie?

- Czekałam... Mogłam tak czekać aż do ostatnich dni mego życia.

- I wierzyłaś, że kiedyś przyjadę, aby porwać cię na mój statek?

- Wierzyłam.

Eryk Czerwony zmarszczył brwi. Nie podobał mu się ten dialog prowadzony przez ledwie tylko przybyłego rycerza z wdową po jego synu, Torwaldzie.

Zezwolenie było jednak dane.

W tydzień później na Grenlandii obchodzono uroczyste zaślubiny Torfinna z Gudrid. Potem Torfinn ją zbierał drużynę i sposobił swe statki do wyprawy. Trzeba było przeprowadzić szereg remontów w kadłubach, obić dziób żelazem, wybudować na pokładzie pomieszczenia dla zwierzyny.

Torfinn całe dni spędzał wśród żeglarzy, którzy odbyli pod wodzą Leifa czy Torwalda podróż ku nieznanym ziemiom. Pytał o prądy wodne, o góry lodowe, które można napotkać na tych wodach, o wybrzeża i możliwości lądowania oraz zdobycia żywności, a wreszcie o ludzi, których tam spotkano.

- Niechybnie to skrelingi - mówili niektórzy żeglarze. - Nadzy są, a na głowach mają pełno piór. Nie ludzie to, a gnomy.

- Moi drodzy, w Mauretanii widziałem ludzi czarnych jak smoła, a jednak byli to tylko ludzie i pod uderzeniami naszych mieczy i toporów ginęli jak wszyscy inni. Słyszałem natomiast, że macie kłopoty z jakimś ludem zamieszkującym Grenlandię?

- Tak, na północy, w krainie wiecznego śniegu i mgły pojawiły się dziwne gnomy, które niekiedy napadają na nas. Istoty te chodzą od stóp do głów w skóry, są małe, żółte, skośnookie, straszne. Mimo niepozornego wzrostu są niebezpieczne. Mają łuki i strzały, albo harpuny. Wszystko wykonane z ości wielkich ryb i z kości zwierząt. Wieczorami Torfinn wiódł rozmowy z Gudrid.

Skarżyła mu się, jak bardzo była do tej pory samotna, z nikim się nie przyjaźniła i czekała, tylko czekała...

- Kiedy pomyślałam rozsądnie o twoim przyrzeczeniu, wydawało mi się to niemożliwe, ale uczucie mówiło mi co innego - że wrócisz, że spotkamy się.

- A nie będziesz się bała wyruszyć ze mną na tę wyprawę?

- Nie! Nie chcę już nigdy zostać sama i czekać na ciebie.

- A jeśli nadejdzie burza?

- Wolę burze, wolę śmierć niż noce spędzane w murach tego zamczyska na Grenlandii... Nie odtrącaj mnie, Torfinnie! Chcę być zawsze z tobą...

5.

Był rok 1011, kiedy od brzegów Grenlandii odbiły dwa wielkie statki, zdobne w kolorowe żagle i czerwone łby smoków na dziobach. Na pierwszym okręcie stali obok siebie Torfinn i Gudrid.

- Sprawdza się mój sen - mówił Torfinn. - Czy pamiętasz Gudrid, o czym to mówiliśmy przed laty na ziemi islandzkiej? Były w naszych marzeniach dalekie lądy i dalekie morza, dawne pieśni skaldów i nowa, rodząca się dopiero saga. A przede wszystkim byliśmy razem, ty i ja... Pamiętasz?

Gudrid spoglądała na Torfinna błyszczącymi radością oczami i w milczeniu

kiwała głową.

Zginęły już w mgłach kontury Grenlandii. Przewodnik, który pływał ongiś z Leifem, pilnował, aby okręty szły ustalonym kursem, ku brzegom Vinlandu...

Nadeszły dni i noce pełne wichrów i słonychbryzgów tal. Towarzyszki Gudrid niewygody podróży znosiły bardzo ciężko, tak że w końcu to ona musiała nimi się opiekować, a nie na odwrót, jak było przewidziane. Żeglarze normańscy, chociaż starali się nie okazywać zmęczenia, słabli również w tej dalekiej wyprawie. Chłostani lodowatym wichrem, zmoczeni bryzgami fal północnego Atlantyku, niedożywieni - wyglądali z utęsknieniem brzegów jakiegokolwiek ładu.

Wreszcie ukazała się ziemia. Pojawienie jej oznajmiono radosnymi okrzykami. Potem odezwały się bojowe rogi, chociaż nie spodziewano się zastać tutaj ludzi.

Torfinn uważnie śledził wybrzeże, nie dostrzegał jednak nigdzie drzew, nie mówiąc już oczywiście o pnączach dzikiego wina, które potwierdziłoby dotarcie do Vinlandu. - Z pewnością wiatr zniósł nas z kursu - rozumował Wiking - i oto dotarliśmy do Hellulandu.

Zmęczenie załóg kazało Torfinnowi podjąć decyzję wylądowania na niegościnnie wyglądającym brzegu. Rozpalono ogniska, część drużyny poszła w głąb ładu, aby upolować jakąś zwierzynę. Znalaziono wkrótce strumień, który pozwolił wreszcie żeglarzom napić się świeżej wody i uzupełnić zapasy.

Przy biesiadzie, jaką urządzono pod wieczór, kiedy wojownicy wrócili z upolowaną zwierzyną, wymieniono poglądy na temat planów dalszej podróży. Torchal, dowódca drugiego statku uważał, że Vinland leżeć musi bardziej na północ i proponował żeglugę w tym kierunku. Torfinn rozumował słusznie, że im dalej na północ, tym roślinność staje się uboższa, a więc nie może być mowy o tym, aby tam napotkano lasy. Biesiada przeciągała się długo, wypite wino zaszumiało w głowach wojowników. Wreszcie Torchal oświadczył, że ani myśli płynąć dalej na południe. Oczekiwano, że za to zuchwalstwo Torfirm rozstrzaska mu głowę toporem; nastąpiło zgoła coś innego. Wiking wybuchnął śmiechem.

- Chcesz, Torchalu, szukać Vinlandu na północy, to płyn sobie sam! Spotkamy się i tak na Grenlandii, a wtedy okaże się, kto miał rację i odpowiesz za bunt przed radą... Chcesz szukać Vinlandu na północy? Proszę, droga wolna!

Świt wstał mglisty, potem ostry wiatr porwał na strzępy całun mgieł i zaczął mżyć drobny deszcz. Od brzegu odbił jako pierwszy okręt Torchala. Zgrupowana na lądzie drużyna obserwowała, jak wiosła niosą go na otwarte morze i jak tam wydyma się kolorowy żagiel z runicznym znakiem boga Thora.

Torchal nie tylko nie odnalazł nigdy Vinlandu, ale i nie powrócił na Grenlandię. Wicher - dmący od strony morza, które dziś nosi nazwę Morza Baffina - zniósł jego okręt daleko na południo-wschód. Po wielu, wielu dniach żeglugi Torchal wylądował ze swoimi ludźmi na brzegu Irlandii, tam został schwytany i zgładzony

za piractwo, które łatwo było zarzucić każdemu Normanowi.

Statek Torf inna popłynął na południe...

Jeszcze przed opłynięciem jednego z niebezpiecznych cypli Labradoru spotkano cały kompleks gór lodowych. Zjawieniu się tych potężnych brył lodu towarzyszył nagły spadek temperatury. Gudrid spoczywała w namiocie ze skór razem ze swoimi towarzyszkami. Wszystkie spowite były w futra, spoza których wystawały im tylko czubki nosów i oczy. Jedzono niewiele, ponieważ duża atlantycka fala rzucała kadłubami statków i odbierała apetyt. Ludzie mówili do siebie mało.

Góry lodowe miały osobliwe kształty wysp z wzniesionymi na nich lodowymi zamkami. Żeglarze z zabobonną trwogą odnajdywali w tych wżłobionych przez wiatr, deszcz i słońce formach - blanki i wieże, bramy i kaplice. Może w takich właśnie zamkach mieszkają gnomy, a może tutaj znajduje się ostatnia przystań dawno umarłych rycerzy?

Wszystko naokoło było obce, wrogie, przerażające.

- A jeśli dopłyniemy do krańca ziemi? - pytała zalekniona Gudrid.

- Zobaczymy wówczas jak ten kraniec wygląda - odpowiadał poważnie Torfinn. Wierzył, że gdzieś rzeczywiście morze musi się skończyć; gdzieś tam wspina się ono ku górze, zamykając wielkim łukowatym sklepieniem niebo. Dlaczego tak się dzieje i jakie siły na to wpływają, nie umiał tego wytłumaczyć. Pewny był jednak, że do końca ziemi jest jeszcze daleko. Wprawdzie kiedyś, jakiś mnich opowiadał - w co Torfinn nie wierzył - że ów kraniec znajduje się bardzo blisko i twierdził, że Torwald nie napotkał na trasie swojej podróży dzikich ludzi, ale demony czy może chrześcijańskie diabły, a może skandynawskie skrelingi czyli gnomy.

Przypominał sobie to wszystko Torfinn oglądając mijane na morzu pałace „Króla Mrozu”, wielkie góry lodowe i wypatrując Vinlandu. Vinlandu jednak nie było. Może przewodnik zmylił drogę? A może tajemniczy ląd ukrył się w mgłach?

Żeglowano teraz na południe, a nawet na południo-zachód.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy wachtowy na dziobie pierwszego żaglowca obwieścił pojawienie się na horyzoncie... ziemi. Może było to złudzenie, ale wszystkim zrobiło się jakoś cieplej i weselej. Towarzyszki Gudrid wysunęły głowy z futer, a ci z żeglarzy, którzy wolni od służby spali na dnie statku - wstawali, przeciągali się i przecierali oczy.

A może to nie ląd?

Nie, to nie miraż jednak. To istotnie ziemia.

Nikt z normańskich żeglarzy na statku Torfinna nie zdawał sobie sprawy, iż dobija do wielkiego kontynentu, który za cztery wieki dopiero odkryje dla Europejczyków żeglarz z Genui w służbie hiszpańskiej - Krzysztof Kolumb.

Aż nad brzegi morskie schodziła zieleń gęstego boru. W oddali rysowały się szczyty gór. Markland czy Vinland, w każdym razie to upragniony ląd bogaty w drzewo. Nad masztem zakołowały ptaki obwieszczając przybycie jasnowłosych

żeglarzy.

Oczy Wikingów wypatrywały przystani dogodnej do lądowania i do zabezpieczenia w niej statku. Wreszcie zatoka taka zjawiała się w polu ich widzenia. Gdy dziób z potwornym łbem smoka zaszył się w piasek na plaży, Torfinn wyskoczył na ląd ciesząc się jak dziecko zielenią traw i krzewów.

Do zatoki wpadało aż siedem strumieni i rzek. Nazwano więc to miejsce Straumfjord - czyli „Fjord Strumieni”. Tutaj postanowiono tymczasem pozostać.- Torfinn znalazł odpowiednie miejsce na obóz, cypel z dwóch stron objęty ramionami rzek. W małej zatoczce, w ujściu jednej z rzek, stanął statek; na brzegu wzniesiono palisady, strażnice i domy mieszkalne. Znalazł się nawet kamień ofiar-ny dla bóstw nordyckiego Olimpu, na którym na cześć zwycięskiego zakończenia drugiego etapu wyprawy spalono pęki leśnych ziół.

Las obfitował w zwierzynę i w owoce, wody rzek w ryby, w pobliskich górach gnieździły się masy ptactwa. Życie w osadzie płynęło spokojnie, niemal sielankowo. Tutaj to, na nowym kontynencie, rycerze z drużyny Torfinna pobrali sobie za żony towarzyszkę Gudrid. Kiedy liście na drzewach żółkły, wszyscy pewni już byli, że zostaną tu na całą zimę. Oczekiwano na pierwsze chłody, pierwsze śniegi. Nadeszły wreszcie, ale jak bardzo niegroźnie wyglądały w stosunku do srogich zim na Grenlandii!

Pewnej nocy, gdy od Atlantyku wiatr gnał śnieżne szkwały, Gudrid urodziła syna. Nadano mu imię Snorri. Dzieciak znalazł się od razu w kręgu zainteresowań całej osady, wszyscy byli z niego dumni, a najbardziej Torfinn.

Zima minęła szybko. Las pokrył się świeżą zielenią, rozkwitły pierwsze kwiaty. Ptactwo hałasowało w gąszczu drzew.

Na wiosnę dziewięciu rycerzy oświadczyło, że chce wracać do domów. Torfinn nie sprzeciwiał się. Normanowie zbudowali statek i puścili się w podróż powrotną. Nie wiadomo, jaki był ich los, do Grenlandii bowiem nie dotarli,

Torfinn również postanowił opuścić osadę, ale pragnął płynąć na południe. Ciągnęła go owa Wielka Niewiadoma nieznanego kontynentu. Sam nie wiedział, dlaczego pragnie kontynuować podróż i czego oczekuje na jej ostatnim etapie, a jednak nie mógł oprzeć się pokusie niezmiernych morskich dali. Nikt z pozostałych normańskich żeglarzy nie zgłosił sprzeciwu. Ci, którzy chcieli wrócić - już odjechali, reszta pragnęła podążyć za swoim wodzem nawet na koniec świata.

Statek Torfina popłynął dalej na południe. Robiło się coraz cieplej, znacznie bardziej niż latem na Islandii. Obozowisko postanowiono rozbić u ujścia wielkiej rzeki, która dziś bywa często utożsamiana z ujściem Hudsonu, a nawet... z zatoką Chesapeake. W każdym razie w ujściu tej rzeki leżała wyspa, którą Wikingowie nazwali Hop i wyznaczyli na swoją bazę.

Któregoś dnia do Torfinna podszedł Wiking Orm, opiekujący się zapasami okrętowymi. Był to siwo-brody, potężnej budowy mężczyzna w stożkowatym

hełmie z dwoma kozimi rogami po obydwu jego bokach. Tym razem nie narzekał na to, że woda zateęchła, czy też że musiał wyrzucić zepsutą żywność. Przyniósł wieść dość niezwykłą. W młodości był skaldem. Układał bohaterskie sagi i śpiewał je podczas uczt na zamkach norweskich i islandzkich. Obecnie prosił o zezwolenie wykonania pieśni o czynach... Torfinna Karlsfenni. Wódz wyprawy przystał na to, nie wiedząc jeszcze, że sagi siwobrodęgo skalda Orma przetrwają przez tysiąclecie.

Kiedy rycerze usypali wały, zabezpieczyli wciągnięty na brzeg statek i zbudowali prawdziwy dwór, w którym mieściła się nawet wielka sala przeznaczona na wspólne uczy - Orm mógł przedstawić swój utwór całej drużynie. I odtąd we wszystkie wieczory, gdy wiatr szumiał w listowiu wysokopiennej amerykańskiej puszczy, na środku biesiadnej izby rozpalano ogień, a stary skald recytował balladę-opowieść o losach dzielnych żeglarzy z Torfin-nowej drużyny. Brodate oblicza normańskich wojowników ledwo majaczące w blaskach ogniska osnuwała wówczas tęsknota i zaduma.

Słuchał tej pieśni sam wódz wyprawy i przytulona do niego piękna Gudrid. Nikt jednak z drużyny, ani wódz Torfinn, ani nawet bajorz Orm nie zdawał sobie sprawy z wielkości dokonanego czynu. Przecież niewiele brakowało, aby posunęli się jeszcze dalej na południe i na pięć wieków przed Cortezem odkryli cywilizację Meksyku.

Życie w osadzie płynęło niemal tak, jak w zagrodach na Grenlandii. Mężczyźni polowali na dzikie zwierzęta, sposobili broń, naprawiali łodzie, kobiety przędły, szyły odzież, warzyły strawę. Wieczorami słuchano skaldowych sag. Jednak pewnego dnia sielskie życie osady zostało



zakłócone. Do wyspy zbliżyły się pirogi, w których siedzieli prawie zupełnie nadzy ludzie.

- Skrelingi! Skrelingi! - krzyknęły przerażone warty, biorąc Indian za legendarne gnomy.

33

Torfinn uspokoił swoich wojowników, tłumacząc im, że są to ludzie, którzy zamieszkują tę ziemię i z gnomami nie mają nic wspólnego. Torfinn pamiętał jednak relację żeglarzy Torwalda i wiedział, że trzeba się mieć na baczności. Tym razem tubylcy nie mieli jednak złych zamiarów. Podeszli blisko do wojowników normańskich i bez lęku zaczęli się im przyglądać. Torfinn, zorientowawszy się, który wśród przybyszów jest wodzem, podszedł ku dzikusowi i wręczył mu kawałek czerwonego sukna. Ten nie od razu zrozumiał gest Wikinga, ale kiedy to nastąpiło, odtańczył jakiś osobliwy taniec radości i pobiegł do łodzi. Okazało się, że właściwie pojął sens podarunku, bo wkrótce wrócił z naręczem pięknych futer. Dało to sygnał do rozpoczęcia handlu wymiennego na szeroką skalę między żeglarzami a Indianami. Na nieszczęście nie opodał pasł się byk, przywieziony przez Wikingów z Grenlandii razem z parą krów. Byk na widok czerwonego sukna, które ze strony żeglarzy stanowiło zapłatę za futra, zerwał się z uwięzi, wpadł między Indian i oczywiście zaatakował nowych posiadaczy czerwonej materii. Nim Wikingom udało się ujarzmić rozwścieczone zwierzę, kilku Indian odniosło rany, a jeden oddał życie. Krajowcy złowrogo wykrzykując wycofali się do pirog i odpłynęli.

- No, teraz się zacznie zabawa... - mruknął Torfinn i nakazał wzmocnić warty.

Był niemal pewny, że Indianie powrócą, ale już nie w pokojowych zamiarach.

Jakoż istotnie, gdy tylko welon mgieł ponad Atlantykiem przebiły strzały słońca, na wodach zatoki w pobliżu wyspy ujrano łodzie pełne tubylców.

- Niech cię wielki Thor strzeże i da ci siłę boską - pożegnała Gudrid męża, zapominając, że na Grenlandii ochrzcił ją łysy zakonnik norweski.

Starcie było krótkie, ale zaciekle. Indianie - jak zwykle - zaatakowali strzałami z luków, a następnie ruszyli do walki wręcz, wznosząc w maczugi. Zbroje i kolczugi oraz tarcze normańskie stanowiły dostateczną ochronę przed strzałami, a topory Wikingów wystarczyły, aby zgruchotać maczugi, a następnie czaszki pierwszych napastników. Starzy piraci, którzy mieli za sobą niejedną bitwę, którzy łupili wybrzeża irlandzkie i francuskie, pokonywali walecznych wojów z Rugii i Pomorza - poczuli się w swoim żywiole. Toteż Indianie, napotkawszy na taką obronę, zaniechali dalszej walki i wycofali się na łódki. Wkrótce zniknęli we mgle ścielącej się tumanem nad zatoką i nigdy już więcej nie napastowali wyspy Hop. Normanowie widywali nieraz ich pirogi lub spotykali ich samych podczas polowań na sąsiednim wybrzeżu, ale dzicy zachowywali już zawsze odpowiednią odległość.

Wikingowie lubili zapuszczać się w głąb lądu, aby penetrować nieznaną kraj. Jak daleko prowadziły te ich wyprawy, trudno dociec.

W roku 1013 Torfinn postanowił powrócić na Grenlandię. Zaczęto czynić przygotowania, remontować statek, sposobić ekwipunek. W pełni wiosny podniesiono żagiel.

- Nigdy nie zapomnę tych lat - powiedziała Gudrid. - To była najpiękniejsza baśń, jaką poznałam w swoim życiu. Najpiękniejsza dlatego, że jej nie wysłuchałam, a przeżyłam.

- Słuchać będą jej inni - wtrącił Torfinn. - W śnieżne wieczory zimowe, gdy nad Grenlandią szaleć będzie wichur, w biesiadnej sali zamku snuć ją będą skaldowie, powtarzając to, co siwowłosa Orm śpiewał nam na wyspie Hop.

- I słuchać jej będzie Snorri - dodała jasnowłosa Gudrid.

Wyspa Hop zlała się już z linią horyzontu. Zabieli wydymał się od porywów wiatru, który niósł drużynę piracką do jej domowych leży.

Awanturzysta podróż nie skończyła się jednak jeszcze. Już w pobliżu Grenlandii, gdy statek Torfinna miał za sobą daleko w tyle Yinland, Markland i Helluland, złapał go straszliwy sztorm. Tylko świetnie opanowanej sztuce żeglowania mógł zawdzięczać Torfinn swoje ocalenie.

W pełni lata osiągnięto wybrzeża Grenlandii...

6.

Prawda, że historia ta brzmi jak romantyczna saga? A jednak nie została wymyślona przez autora. O wyprawach do tajemniczego kraju, którego kolejno odkrywano części nazywano: Helluland, Markland i Vinland, a wreszcie o wyspie Hop - mówi wiele starych źródeł. Dziś już nikt nie neguje hipotezy, że do

kontynentu amerykańskiego dotarli. Islandzko-grenlandcy Wikingowie. Historycy, którzy zajmowali się tymi zagadnieniami, wskazują na takie źródła jak: Saga Eryka Czerwonego, Opowieści Grenlandczyków (1070), dzieło Adama Bremańskiego *Gesta Hamburgensis Ecclesiae Pontificum*, kronika *Libellus Islandorum* (1120 r.), *Sagi Eyrbyggja* (1250 r.) i *Gretti* (1290 r.) i wiele, wiele innych prac współczesnych tym wydarzeniom.

Bohaterowie tych historii doczekali się nawet pomników. W Bostonie i Nowym Yorku stanęły pomniki Leifa Ericksona, a w Filadelfii - Torfinna Karlsfenni. Nie tak dawno posąg Leifa Ericksona ozdobił Reykjavik. Nieustraszonych żeglarzy po dziesięciu wiekach znów obdarzono uznaniem i sławą.

Informacje zawarte w wymienionych wyżej źródłach nie zawsze pokrywają się z sobą, dlatego też w opracowaniach współczesnych można napotkać na rozbieżności. Na przykład w „Opowieściach Grenlandczyków” dzieło dotarcia do Vinlandu przypisuje się Biarnemu Herjulfssonowi, od którego Leif odkupił okręt „Ulitku”. W innych źródłach czyny Torfinna przypisuje się Torwaldowi, chociaż mówi się tam o pięknej Gudrid, wdowie po Torwadzie, a następnie żonie Torfinna i matce małego Snorri, który ujrzał światło dzienne na ziemi amerykańskiej. Istnieją również kłopoty z datowaniem wydarzeń, chociaż rozpiętość różnych danych chronologicznych nie jest duża. Według jednych historyków powrót Torfinna z wyprawy przypada na rok 1000. Inni wymieniają rok 1015. Datę wylądowania Leifa Ericksona na kontynencie amerykańskim oblicza się bądź na rok 999, bądź też na rok 1002.

Kolonia grenlandzka nie egzystowała długo, a szczytowy okres jej rozwoju przypada na wiek XII. Zresztą nie można było oczekiwać wielkiego rozwoju kolonii, która najprostszy budulec - drzewo - musiała sprowadzać z morza. W roku 1261 Grenlandia została włączona całkowicie do Norwegii, co ostatecznie zdecydowało o jej upadku. Maleją powoli jej flota, a w końcu zamiera handel z metropolią. Przez długi czas jedynie statek przybywający raz w ciągu roku na Grenlandię stanowi cdy kontakt kolonistów ze światem. Później i ta wieź zostaje zerwana. Dopiero w roku 1410 znowu dociera na Grenlandię jakiś statek z Norwegii. Załoga jego nie zastała już jednak ani jednego potomka dzielnych piratów normañskich. Na wybrzeżach stały opuszczone ruiny zamków i domów mieszkalnych. W jednej z osad znaleziono szkielet człowieka, prawdopodobnie ostatniego mieszkańca, który złożył do mogił wszystkich swoich współtowarzyszy, ale jego nie było komu pochować. Normañska ludność Grenlandii wyginęła. Co było powodem tego, dotychczas nie wyjaśniono. Jedni mówią o epidemii, inni o ekspansji Eskimosów. Słuszności pierwszej tezy dowodziłyby badania przeprowadzone na cmentarzyskach Grenlandii. Wykazały one tendencje degeneracji u późniejszych pokoleń grenlandzkich Wikingów. Zaobserwowano również wzrost liczebny szcążków dzieci i młodzieży.

Jeżeli chodzi o drugą tezę, to i ona znalazła uzasadnienie. Oto w niektórych ruinach napotkano ślady bytności Eskimosów, a u niektórych z nich stwierdzono

cechy mieszkańców. Ale wszyscy oni mówili językiem eskimoskim i nic nie wiedzieli o swoim odrębnym pochodzeniu. Nawet starzy Eskimosi twierdzili, że nie pamiętają, aby ruiny wznoszące się nad brzegami Atlantyku były kiedykolwiek zamieszkałe

A Vinland?

Kontakty z tym lądem były utrzymywane jeszcze długo. W jednej z kronik napotykamy na przykład i wzmiankę, że w roku 1121 biskup grenlandzki, Eryk, wyruszył do Vinlandu „nawracać pogan”. O jego dalszych losach, a zwłaszcza o powrocie - historia milczy.

W roku 1738 francuski etnograf. Piotr de la Verendrey, miał podobno odnaleźć szczep Indian, który później całkowicie wyginął, odznaczający się jasnym kolorem skóry, jasnymi włosami i niebieskimi oczami. Wśród tych Indian znane były niektóre wersety biblijne.

W legendach Indian środkowoamerykańskich mówi się wiele o białych przybyszach zza oceanu, którzy przyплыли na „skrzydlatych” okrętach. Nic też dziwnego, że Femando Cortez został powitany jako bóg.

W podaniach religijnych Indian peruwiańskich zachował się mit o białym, rudobrodym człowieku, którego Thor Heyerdahl - słynny żeglarz z tratwy „Kon-Tiki” - utożsamia z jakimś zabłąkanym Wikingiem. Indianie nazywali przybysza: „Wirakocza” i sławili go w pieśniach. Jego dziełem miało być zorganizowanie pierwszego państwa w Peru. Przybyłego do Peru Pizarra przyjęto więc jako powracającego „Wirakoczę”.

Legendy? Być może. Ale trzeba powiedzieć, że zarówno historycy jak i archeologowie dostarczają coraz więcej materiałów na ten temat. Rzucają one na pewno nowe światło na dzieje wypraw Wikingów do Ameryki i wyjaśnią losy normańskich piratów, zabłąkanych w obcym, nieznanym kraju.

Otóż w pobliżu Eirdmor, niedaleko jeziora Nipigon, odnaleziono szyszak, topór i miecz, których autentyczność nie ulega wątpliwości. Na szlaku tym - z Zatoki Hudsona do Wielkich Jezior - poległ więc jeden ze śmiałych normańskich rycerzy. Ostatnim znaleziskiem, z kolei sześćdziesiątym, na terenie kontynentu amerykańskiego był zardzewiały miecz. Biegli znali normańskie pochodzenie tego przedmiotu. Znaleziono na wybrzeżach Labradoru, tam, gdzie leżeć miał legendarny Helluland.

Na koniec należy wspomnieć o jednym z najbardziej sensacyjnych odkryć archeologicznych, jakiego dokonano niedaleko źródeł Mississipi i Red River, w pobliżu miasta Kensington. Farmer Olaf Ohman znalazł tam w ziemi kamień o rozmiarach 80X40 cm, z wyrytymi na nim tajemniczymi znakami. Uczniowie stwierdzając autentyczność tego znaleziska orzekli, że tajemnicze znaki to skandynawskie pismo runiczne. Przetłumaczony tekst głosił:

„Ośmiu Gotów i 22 Norwegów bierze udział w wyprawie do Vinlandu na zachód. Obóz nasz rozbiliśmy w pobliżu dwóch, skalistych wysp, o kilka dni drogi

w kierunku północnym, licząc od tego kamienia. Pewnego dnia wybraliśmy się na połów, ale gdy wróciliśmy, zastaliśmy dziesięciu naszych towarzyszy leżących we krwi i nieżywych. A. V. M. ratuj nas od zagłady".

Na drugiej stronie kamienia był dopisek:

„Wysialiśmy dziesięciu najlepszych ludzi z naszej drużyny nad morze, aby strzegli naszych statków - o 14 dni marszu od tej wyspy. Rok 1362".

Naukowcy po długich badaniach doszli do wniosku, że istotnie wzniesienie, na którym znaleziono kamień, było kiedyś wyspą, a mianem morza określił autor wyrytej na kamieniu notatki Jezioro Górne.

W archiwach norweskich natomiast odkryto dokument dotyczący wyprawy, jaka na zlecenie króla Szwecji i Norwegii, Magnusa Ericksona, wyruszyła w 1355 roku pod wodzą Knutsena do Grenlandii i Vinlandu.

Jaki los spotkał rycerzy skandynawskich? Czy to oni właśnie pozostawili ów tragiczny dokument, wyryty na kamieniu? Czy zginęli w puszczy amerykańskiej, czy zasymilowali się z tubylcami? A może to jeden z nich w charakterze „białego boga" dotarł do Meksyku?

Niestety, na te pytania odpowiedź na razie dać może jedynie fantazja.

7.

Torfinn nie doczekał upadku kolonii grenlandzkiej. Za jego czasów rozwijała się ona jeszcze, a koloniści normańscy docierali wzdłuż wybrzeży Grenlandii aż do tajemniczych pałaców lodowych, zamieszkałych przez gnomy i rusalki, o których opowiada każda skandynawska saga.



W czasie jednej z tych wypraw udało się żeglarzom Torfinna popłynąć dalej niż zwykle. Być może, dostali się ze swoim statkiem w oblodzoną cieśninę, nazywaną dziś Przesmykiem Smitha, za którą rozpościera się jak pułapka - Kane Basin.

Był to okres wędrówki Eskimosów, którzy z półwyspu Melville'a przedostawali

się na Ziemię Baffina, a następnie - wędrując wśród lodowych pustyń - przekraczali właśnie Przesmyk Smitha. Torfinn obserwował z pokładu maleńkie figurki skarżące po lodowych zrębach i być może przeczuwał, że kiedyś te małe, krepie ludziki otulone w skóry i przez to podobne do wilkołaków zagrożą koloniom grenlandzkim. A Gudrid?

Gudrid często wychodziła nad brzeg morza, oczekując powrotu męża. Nie niepokoiła się, wierząc, że kbasń poczęta w podróży do Viniandu nie może skończyć się źle. Torfinn był dla niej dalej bohaterem sag.

Mijały jednak tygodnie, miesiące, wreszcie lata, a dzielny Wiking nie wracał. Kto wie, może jego okręt otoczony przez lody zamknięty został w nich Jak w szklanej trumnie? Być może ktoś kiedyś ujrzy go jeszcze przez tafelę lodowego bloku, jak zapatrzony w dal, czuwając na dziobie swego statku, czeka na ciepły wiatr, który skruszy wielkie góry lodowe i spędzi je na Atlantyk.

Torfinn Karlsfenni zaginął.

Tylko pieśń, recytowana przez siwobrodego Orma przetrwała. Powtarzano ją przez wieki, nawet wówczas, gdy nie stało już normańskich piratów w ich nadbrzeżnych gniazdach.

